

Margarita Jaworska

Matka pustki

Noszę w sobie ślad czegoś,
co nigdy nie nadeszło.
Jestem matką pustki,
którą karmię – moim sercem,
aż staje się cięższa niż ciało.

To, co dano przeżyć,
jest zbyt kruche,
by unieść wieczność.
Dlatego tęsknię
nie za tym, co istnieje,
lecz za wszystkim,
co miało nadejść,
a zatrzymało się w progu,
jakby bało się
postawić ostatni krok.

Każdy dzień to skorupa,
którą rozbijam,
szukając źródła, nieobecnego
Każdy oddech jest mantrą
wypowiadaną do ciszy,
która nie odpowiada.
Być może
całe moje istnienie
jest zwykłą tęsknotą –
kruchością, która śpiewa
na granicy ognia i popiołu.
Bo nie mam innego głosu,
poza tym, który drży w ciemności,
jakby chciał przypomnieć księżycowi,
że wciąż jestem.

I choć wiem,
że prawda jest okrutna:
obietnice nie zostaną wypełnione,
minione dni i noce nie powrócą,
a poszukiwane światło
nie stanie się moje.
Idę dalej,
niosąc w piersi
świadomość nietrwałości,
jak ostatni płomień nadziei,
który potrafi spalić lzy,
by uczynić z nich
wieczność, z której pochodzę.

Tu osiecka

Zatrzymałam się tu,
między niebem a ziemią,
bo nie zdążyłam wypić do końca
tego kieliszka, którym było życie.

Pisałam, śpiewałam,
uciekałam w słowa,
ale każde było tylko półprawdą.
Za każdym rymem
kryła się twarz,
której nigdy nie odważyłam się nazwać.

Niebo mnie nie przyjęło,
ziemia dawno odrzuciła.
A ja błąkam się
jak piosenka bez refrenu,
która zatrzymała się
na kluczowej frazie.

To nie miłość mnie więzi,
choć jej miałam w nadmiarze.
To wina, że zostawiłam po sobie
za dużo niedopowiedzeń,
za dużo serc nieodkrytych
jak listy, których nigdy nie wysłałam.

Moje słowa tańczą nadal.
„Niech żyje bal” – śpiewają Ci żywi,
a ja stoję tutaj – bez głosu, bez ciała,
mam ciężar, którego nie zdążyłam odłożyć.

Nie pytaj mnie o wybawienie.
Nie pytaj o sen.
Jestem tą, co utknęła pomiędzy,
jak hit w radiu,
który nagle ucicha.

I jeśli jeszcze istnieje pieśń dla mnie,
to będzie to lament
o duszy,
która nie potrafiła przebaczyć
ani sobie, ani innym.



Rys. Barbara Medajska

Ścieżka w starym lesie

Namalowałam cię –
nie tak, jak wyglądasz,
lecz tak, jak brzmisz,
gdy cisza wypowiada twoje imię.

Nie ma tam rąk, ani rysów twarzy,
bo to, co zostało we mnie,
nie potrzebuje konturów.

Zostawiłam miejsce na cień –
nie po to, by cię ukryć,
lecz byś mógł wejść,
gdy świat zbyt głośno mówi: „nie ma”.

Tło nie jest niebem
ani żadnym rajem;
to ścieżka starego lasu,
rozświetlona, jakby ktoś przeszedł przed
chwilą.

Drzewa pochylają się
nie z żalu, lecz z wdzięczności,
a liść, którego nie widać, nie umarł –
wróci inaczej, gdy przyjdzie czas.

Czasem stoję przed płótnem
i pytam: czy to ja stworzyłam obraz,
czy ty stworzyłeś we mnie przestrzeń,
w której mógł powstać?
Bo gdy patrzę – przestaję widzieć.
Staję się częścią niewidocznego.

Nie odszedłeś – tak to czuję.
Po prostu przestałeś być oczywisty.
I choć wciąż idę przez świat,
który nie zdążył cię poznać,
czasem się odwracam:
bo ktoś śmieje się jak ty,
bo szelest brzmi jak twój krok,
bo dusza drży tam, gdzie byłeś.

Może wrócę, ale nie dziś

Nie wołaj mnie z powrotem!
Niech świt przetnie mnie jak ostrze.
Byłam ogniem – zostałam prochem,
duszą w locie, bezgłośnie.

Zbyt długo w waszych ogniach gasłam,
zbyt wiele krzyków ukryłam w dłoni.
Nie widać było moich ran –
niosłam was, nie mając broni.

I teraz – kiedy milczę wiecznie,
niech was nie karmi nadzieja.
To nie sen. To wybór.
To ucieczka duszy od ciała –
co więzi, nie wspiera.

Wiem, że będziecie krzyczeć po kątach,
bo w waszych nocach – ja, rama pusta.
Ale wiedźcie: ja wreszcie oddycham.
Nie w waszym świecie. Tam – za bramą.

Czy jeszcze zdążę... powrócić w wersji
choć trochę bliższej temu, kim być chciałam?
Zanim czas do końca mnie przegnie,
czy zdążę – nie być tylko ciałem?

Może wrócę.
Może w twoim dziecku
zabłysnę jednym ruchem brwi.
Ale już nie dziś. Nie proście...

Bo tylko śmierć, kochanek bez maski,
zabiera mnie całą, nie pytając o sens.
Tylko śmierć mnie rozumie,
Gdy wszyscy inni chcieli mnie mniej.